

Z. MORAWSKA.

ZABAWY W DAWNYCH CZASACH

Lebed II.



PIERŚCIEŃ. WIGILJA ŚW. ANDRZEJA,
GONITWY. WSZYSCY ŚWIĘCI
 W NIEŚWIEŻU.

Z RYSUNKAMI W. KIPMANA



WARSZAWA. WYDAWNICTWO M. ARCTA.
Kraków. S. A. Krzyżanowski.



PIERŚCIEŃ.

I.

Już ogień płonie, już płonie,
Rozkłada światło po stronie,
Rozkłada światło tam w dali,
A długoż będziemy czekali?
Oj, toć nam czekać nie trzeba,
A póki w nocce są nieba,
Kupała*) rzućmy co w darze,
Choćby wianuszków po parze.**)

Tak śpiewając zebrane dziewczęta na wzgórzu
wzięły się za ręce i kilkakrotnie w takt pieśni
obróciły się dokoła rozłożonego ogniska.

Potym, powtórzywszy ostatnią zwrotkę, poczęły
zdejmować z głowy wianki i wrzucać je w płoną-
jący ogień.

Płomień, wybuchający dotąd jasno, przytłumio-
ny nagle zieleń, począł gasnąć, rozwłócząc dym
nizko i wydając woń nieprzyjemną. A dziewczęta
patrzając na przygasający ogień, śpiewały na nu-
tę żalosną:

Kupała nie chce tych darów,
Cóż zaś poczniemy niebogi,
Toć puste jeszcze są brogi,
Więc cóż jej damy w noc czarów?

*) Kupała, bogini zbiorów, o której zapewne lud nie wie, lecz
do dzisiejszego dnia imię jej w pieśniach powtarza.

**) Ze starodawnych pieśni.

W tym ogień, wysuszywszy ziele, zajaśniał znów wesoło, a rozradowane dziewczęta poczęły obiegać ognisko, przyspiewując:

Hej szczęście dla każdej z nas blisko,
Bo płonie, hej płonie ognisko!

— Uuu... uuuu... uuu!

— Hua, huua!

— Fiu, fiuut! Fiu, fiuut!

Ozwały się liczne głosy, naśladujące ptaki.

Było więc hukanie sowy, coś jakby nawoływanie puhaćy, kucie w drzewo dzięcioła, łoskot skrzydłami, pisk, aż ozwało się i wycie i szczekanie psa, a nawet przeraźliwe miauczenie kota.

Cały las, okalający wzgórze, rozbrzmiewał one-mi głosami, zdawało się, że nietylko ptaki, ale i czworonożne zwierzęta obraziwszy się, że im klóca spokój i przerywają nocną ciszę, zebrały się na wspólną naradę, żeby bronić swego schronienia.

Lecz te głosy nie straszne snać były dla dziewcząt. Wprawdzie rozpierzchnęły się po wzgórze, ale śmiały się cicho, udając jeno przestach.

A z za krzaków poczęły wyskakiwać chłopcy, udając znów inne głosy ptaków i zwierząt.

Tu i owdzie poczęła się odzywać fujarka, ligawka, to jakieś brząkadółka i dzwonki, wtórujące głosom ptaszęcym. I przy dźwięku tej niezwykłej muzyki poczęła się gonitwa za uciekającymi i kryjącymi się dziewczętami.

Aż nareszcie wśród śmiechu i żartów, chłopcy je dogonili, sprowadzając do płonącego ogniska. Zaraz też wzięwszy się wszyscy za ręce, tańczyli, śpiewając:

Kupalnocka, moja nocka,
A księżycą oko
Hej patrzy wysoko!

Hej patrzy wysoko i da dobrą dolę.
Czyli w domu, czy za domem, czyli wyjdę w pole.
Hu! ha! *)

I to mówiąc, rozerwali koło, rozbiegli się po wzgórze, dziewczęta stanęły na uboczu, a chłopcy przeskakiwali przez ogień.

W tym dziewczęta, zbiwszy się razem, poczęły z wielkim przestachem spoglądać na skraj lasu.

Przystanęli i chłopcy — zaprzestali zabawy i z łękiem w tę samą spoglądali stronę.

A tam stał rycerzyk,
Rycerzyk pięknie odziany,
Stał i patrzył...

Promienie księżycy obrzuciły go blaskiem, a on stał cały jakby w srebrze skąpany, wydawał się jak ów królewicz, co o nim baśni prawią, co zjawia się w noc miesięczną Kupałową. Po trzywszy na przelękłych chłopców i dziewczęta, zdjął z palca drogocenny sygnet i rzucił go przed siebie. Sygnet zawiesił się na liściu paproci i świecił swym kanakiem**), urągając brylantom i promieniom księżycy.

Sygnet pozostał.

Rycerzyk się oddalił. Oddalił i znikł w ności lasu.

Zaległa cisza.

Cisza bezmierna, cisza nocy letniej.

Ośmieleni tą ciszą chłopcy poczęli się skupiać koło dogasającego ogniska.

Przysunęły się też i dziewczęta.

Patrzyli na siebie, nikt nie śmiał słowa wymówić.

— Duch? — szepnęła jedna z dziewcząt.

— Duch... — powtórzyli chórem.

— Skarb! — zawołała nagle jedna z dziewcząt, wskazując na błyszczący wśród zieleni pierścień.

*) Ze starodawnych pieśni. **) drogi kamień.

— Skarb!—powtórzyli inni.

I z wielkim strachem nachylili się nad pierścieniem, patrzącym na nich błyszczącym okiem.

— Zaklęty?—spytała jedna z dziewcząt.

— Zaklęty.. — odpowiedziano jej z przestraszonym głosem.

— W Imię Ojca i Syna... — przeżegnała się dziewczyna.

I wszystkie dłonie podniosły się ku czołu.

Chłopcy i dziewczęta spojrzeli na siebie.

Nikt nie śmiał ruszyć się z miejsca, nikt słowa przemówić. Aż najodważniejszy z nich Jasiak, wyszeptał:

— A kysz, a kysz! Uciekaj zła siło!

Wszyscy z wielkim podziwem spojrzeli na śmiałka. Ten patrzył na pierścień, sądząc, że po tym zaklęciu z przed oczu ich zniknie.

Lecz pierścień mienił się w promieniach księżycy i wielkim brylantem spoglądał na nich spokojnie.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — ozwał się śmiałek, nabierając coraz więcej odwagi. I ja go chwale! — ozwał się głos z głębi lasu.

Wszyscy obejrżeli się mimowolnie w stronę, z której głos pochodził. Nie było nikogo. — Pierścień nie pochodzi od złego ducha! — zdecydował znów śmiałek.

— Nie!—powtórzono chórem.

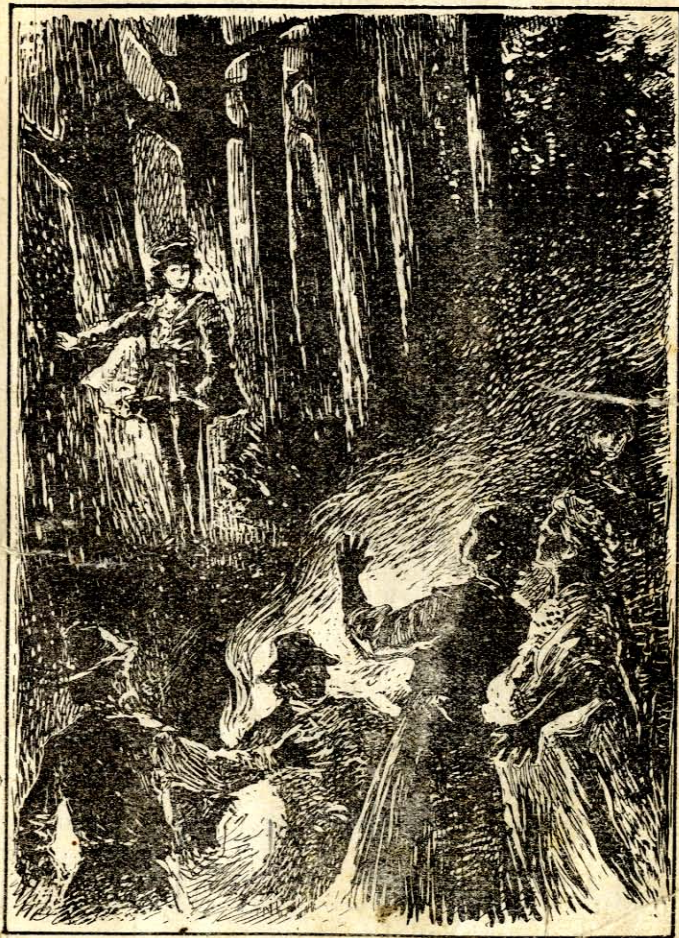
— Weźmy go z liściem paproci i złożmy na ołtarzu w kościele — mówił stanowczym głosem Jasiak, który śmiałym odezwaniami się wziął na siebie rolę przywódcy.

— Zanieśmy!—odpowiedziano jednogłośnie.

I w nadzwyczajnym skupieniu zbliżono się do leżącego na liściu paproci pierścienia.

Z tymże samym skupieniem i powagą pochylono się nad nim.

— A kysz, a kysz!—wołał Jasiak, czyniąc znak krzyża świętego.



... A tam stał rycerzyk, rycerzyk pięknie odziany...

Chłopcy i dziewczęta, wstrzymując oddech, słuchali tych zaklęć. Z zabobonnym strachem patrzyli na pierścień i podziwiali nadzwyczajną odwagę towarzysza.

A ten, schyliwszy się, zawinał pierścień w liść paproci i wyrwawszy krzak jej cały, z wielką ostrożnością, niósł go, jak się niesie rzecz drogocenna.

I szedł tak w otoczeniu całego grona do małego kościółka, a raczej kapliczki, stojącej na skraju sąsiedniej wioski.

Aż i księżyc się schował, gwiazdy gasnąć poczęły, a świt poranny zarumienił obłoki.

Po chwili wyłoniło się słońce, ozłociło krzyż na kapliczce, a przez niewielkie, wązkie okienka i drzwi otwarte kładło snopy światła u stóp ołtarza.

Zamodlony pustelnik, który dozorował kaplicy, nie zwrócił nawet uwagi na wchodzących.

Zresztą było to we zwyczaju, że włóścianie, idąc do pracy, wchodzili do kapliczki na pacierz, a dziewczęta wieńczyły ołtarz zielenią.

Wszedł więc i Jasiiek z całym gronem, przykląkł przed ołtarzem, a potem wraz z liśćmi paproci zawiesił drogocenny pierścień u stóp krzyża, z którego z pochyloną głową spoglądał Zbawiciel świata.

I usta całej tej młodej rzeszy wyszeptaly:

— Przyjmij, o Panie, skarb ten w ofierze, przyjmij o Panie!

Z tym westchnieniem i z wielką powagą opuścili kapliczkę.

Aż po chwili Jasiiek ozwał się nakazującym głosem:

— Nie rozpovídajcie o tym skarbie!

— Boga mi, nie! — zaklęli się wszyscy.

— Takiego skarbu nikt dotknąć nie godny! —

przygroził dalej.

— Boga mi, nie!

— Niechaj zostanie do tej godziny, aż przyj-

dzie chwila, kiedy sam Pan Najwyższy na jakąś wielką potrzebę zabrać go pozwoli... — mówił Jasiiek uroczystym głosem.

— Przysięgnijcie! — dodał, podnosząc prawą rękę do góry.

— Przysięgamy! — odpowiedziano chórem, podnosząc ręce.

Słońce w całej swej potędze obrzuciło młodą głowę jasnym promieniem, zajrzało do ich duszy i napełniło wielką błogością...

Każdy szedł do swej pracy, wierząc, że znaleziony skarb przyniesie nietylko im, lecz i wiosce całej wielkie, niezwykle szczęście.

II.

Tej samej nocy w pobliskim lesie do młodzieńszka, z rycerska ubranego skradającego się cichaczem wśród krzaków, podszedł średnich lat jegomość i głosem surowym rzekł:

— Jak jego królewska mość mogłes najdostojniejszą królowę matkę i nas wszystkich takiego strachu i niepokoju nabawić!...

Młodzieńczyk spojrział na mówiącego, a potem przyłożywszy palec do ust, szepnął:

— Cyt, mości ochmistrzu, czyż nie wiesz, że to dzisiaj kupałnocka i każdy może według swego upodobania jej używać.

— Ale waszej królewskiej mości nie wolno na kilka godzin samemu z zamku się oddalać! — mówił ochmistrz łagodnie lecz stanowczo.

— Jeżeli jestem królem, mogę robić, co mi się podoba! — odrzekł butnie młodzieńczyk.

— Tyle razy już powtarzałem, że królowi najmniej wolno.

Lecz młodzieńczyk nic już nie rzekł, tylko nachmurzywszy jeszcze więcej czoło, wsiadł do oczekującej go kolasy i zasunawszy się w głąb, uda-

wał, że drzemie, aby się od dalszych wymówek i nauk surowego ochmistrza uwolnić.

Uchronił się też rzeczywiście, lecz nie uchronił od wymówek matki.

— Królowa Bona bowiem zaniepokojona zniknięciem syna, rozesłała na wszystkie strony, żeby go szukano. Rozkazując wszakże poszukiwanie, przykazywała:

— Jeno nie robić hałasu; szukać, a nie rozgłaszać o zniknięciu jego królewskiej mości — uwłaczałoby to jego godności i powadze!...

Lecz gdy się Zygmunt August ukazał, zapomniała o gniewie i chwyciła go w swoje objęcia.

Pomiarkowawszy się wszakże i przypomniawszy sobie, że miała go ukarać, odepchnęła i surowo spojrziała.

Wzrok jej padł na rękę syna.

— Gdzieś podział sygnet?—zawołała gniewnie.

— Dziś kupalnocka, każdy składa lub znajduje skarb—odrzekł Zygmunt August. — Ja go złożyłem!—dodał, wytrzymując badawcze spojrzenie królowej.

— Co? gdzie? jak?—pytała Bona.

Młody król chwilę nic nie odpowiadał, aż rzekł stanowczym głosem:

— Złożyłem, by odnaleźć, gdy go najwięcej będę potrzebował.

I skłoniwszy się dwornie, wyszedł z powagą.

* * *

Co tam na drugi dzień było, historia milczy. Lecz pamiętniki, opisujące wychowanie Zygmunta Augusta — mówią:

«Królewicz za krnąbrność i nieposłuszeństwo matce na pokutę był skazany. Raz zaś zamknięty był na 24 godzin o chlebie i wodzie za jakąś nadzwyczajną samowolę».

Czy to było po owej kupalnocce, trudno się domyślić. To tylko wspominają, że królewicz ogło-

szony i koronowany na króla, jeszcze za życia ojca roku pańskiego 1530, a w dziesiątym roku życia swego, był bardzo butny i nieraz lubił na swoim postawić.

Lubił też nocne, samotne wycieczki i był bardzo hojny; rozdawał, co miał. Te nawyknięcia do końca życia mu pozostały. A została i krąząca dotąd między ludem legiendarz:

„Jednego razu w kupalnocce znaleziono bogaty pierścień i zawieszono go w ustronnym, samotnym kościółku. Gdzieby był ten kościółek, nikt nie wie i nikt tego pierścienia nie odnajdzie, chyba ten, co żadną złą myślą serca swego nie splamił, a zapotrzebuje skarbu dla innych, nie zaś dla siebie“.



Wigilia Sw. Andrzeja.

Słońce listopadowe, przedzierające się leniwie przez chmury, wyrzało z poza nich nad samym zachodem i przez wąskie okna wdarło się do dużej komnaty. Złoto jego cudnym swym blaskiem oświeciło główki pochylonych nad wielkimi krosnami panien, kładąc jasne plamy na haftowanych przez nie różnobarwnych kwiatach, nadając im więcej jeszcze wdzięku i życia.

— Już zachód! — rzekła z pewną radością Urszulka.

— A to dziś wigilia do św. Andrzeja — ciągnęła Elżbietka.

— Wiemy, przecieżeśmy solennie pościły! — odrzekła Ewunia.

— Wkrótce już adwent, bo święta Katarzyna adwent zawiązuje, a święty Andrzej poprawuje! — dodała Winecentynka.

— To też ochmistrzyni powinny nas na cały wieczór uwolnić, ażebyśmy przed adwentem jeszcze trochę wesołości zażyły — ozwała się Justysia.

— A i wróżby godziłoby się uczynić — dorzuciła Krysia.

— Oh, tak! tak! oh! — zawtórowały jej inne głosem, bardzo sobie onych wróżb życzącym.

Wtym otworzyły się drzwi, weszła panna Eulalja, ochmistrzyni dworu pani kasztelanowej Nakielskiej i rzekła:

— Złożyć robotę, wielmożna kasztelanowa życzy sobie, żebyśmy pod jej okiem w białej sali, jako w ostatni dzień przed adwentem, zabawiły się przystojnie.

Jak złoty promyk słońka, tak radość zabłysła na obliczach dwórek; zaraz też dygnęły układnie i chórem odpowiedziały:

— Dziękujemy pięknie, jejmość pannie ochmistrzyni!

I poczęły składać do koszyczków nitki srebrne i złote, kłębuszki różnobarwnego jedwabiu, i okrywać rozpostartą na krosnach robotę. Przyczym odsunięty zbyt energicznie przez Urszulkę stołek byłby się przewrócił, gdyby go Ewunia ze zwykłą sobie powagą nie przytrzymała.

Zrobiło się tyle szmeru i hałasu, że panna Eulalja przybrała swoją sztywną powagę i surowym głosem rzekła:

— Moście panny zachowujecie się jak dziewczęta z piekarni, nie zaś jak dwórki kasztelańskiego domu.

Ta i owa spuściła oczy, skryła figlarny uśmiech i miarkując żywość ruchów, kończyła składanie roboty.

— Przystroić się godnie, ale bez wielkich zachodów, poczesać włosy, zawiązać białe krzyżówki na stanikach i włożyć żółte bawełniane mitynki — pouczała ochmistrzyni.

Panienki, złożywszy rączki w pączki, wysłuchały z należnym uszanowaniem przemowy i dygnawszy znów przed ochmistrzynią, chciały odejść z komnaty. Zatrzymał je wszakże głos panny Eulalji.

— A zachować się przyzwoicie, bez zbyt rychłych śmiechów i wykrzykników! Boć jeżeli jaśnie wielmożna kasztelanowa czyni im pannon honor, że je wzywa do siebie, trzeba jej łaskę oce-

nić. A też proszę mi wstydu nie czynić!—dodała dając znak, że mogą już odejść.

Znów panny dygnęły i wyprostowane szły według wszelkich zasad dobrego ułożenia. Zaledwie wszakże znalazły się na korytarzu, łączącym ich sypialnię z pracownią, zapomniały przestróg zanej ochmistrzyni i zaraz gwarzyć poczęły.

— Ciekawam, czy też kto więcej będzie, czy tylko pani kasztelanowa i jej córka.

— Już to z pewnością żadnego kawalera ani poświeci.

— Rozumie się, przecież to panieński wieczór.

— Jeszczeby który żartował sobie z wróżb naszych.

— Ciekawam, czemu wolno kawalerom wróżyć w wigilję świętej Katarzyny, a nam w wigilję świętego Andrzeja—ozwała się małomówna zwykle Ewunia.

I tak dalej i dalej snuły rozmaite przypuszczenia, zmieniając przytym odzież codzienną, składającą się z welniaków swojskiej roboty, na kamlotowe, ciemne sukienki i owe uprzywilejowane wtedy dla pańien białe krzyżówki.

Wkrótce wszystkie były gotowe i z bijącym sercem oczekiwały wezwania. Niebawem też drzwi się otworzyły, ukazała się panna Agata, przybożna do szczególnych poleceń pani kasztelanowej i rzekła:

— Proszę, można już wejść do białej sali.

Dwórki w tej chwili, jak stado gołębi, wyfrunęły i znów według wszelkich zasad, udzielanych im przez ochmistrzynię, jako też i przez metra tańców, we właściwym porządku weszły na górę, gdzie się znajdowało mieszkanie pani kasztelanowej i całej jej rodziny.

W przeznaczonej na dzisiejsze zebranie komnacie nikogo jeszcze nie było. Na kominie palił się suty ogień, twarze z portretów, oświetlone jego migotliwym blaskiem, patrzyły poważnie, na samym zaś środku pod wielkim, o dwudziestu

czterech świecach pajakiem, stał ogromny marmurowy, białym obrusem nakryty stół, pod którym znać były ustawione jakieś pokaźnej objętości przedmioty.

— Co tam jest? — szeptały, trącając się łokciami.

Wtym opona, zakrywająca drzwi, podniosła się i weszła kasztelanowa wraz z córką.

— Witajcie mi, dziewczeczki kochane! — ozwała się dźwięcznym głosem.

Skonfudowane dwórki dygnęły, kasztelanowa przyjaznym skinieniem głowy i uśmiechem je powitała, za to córka jej panna Tekla spojrziała wyniośle, kwaskowato się uśmiechając.

Panienci z pod oka na nią zerknęły, niejedna pomyślała:

— Ach, ta kasztelanowa, taka nieprzyjemna! — ale uniewinniały ją w dobroci swoich młodocianych serduszek, że jest nader słabowitego zdrowia, więc trudno jej być wesołą.

— Dziś wigilja do świętego Andrzeja, który był szczególnym opiekunem dziewic — rzekła kasztelanowa. — Słusznie więc, żeby się moje dziewczeczki nieco zabawiły, a i dowiedziały, jakie losy je czekają—dodała żartobliwie.

— Nawet i ja losów swoich jestem ciekawa! — rzekła panna Tekla.

— Któż ich nie ciekawy! — szepnęła Elżbietka.

— Tylko zbytnio nie dawać wiary owym przepowiedniom, jest to zabawa, jak wiele innych, i zwyczaj od lat wielu, ot sobie dla śmiechu, nie więcej—pouczała kasztelanowa. — Ale wiecież, jak się wziąć do wróżb onych?—spytała.

Dwórki uśmiechnęły się wdzięcznie, żadna jednak nie pochwaliła się umiejętnością prowadzenia onych wróżb.

— To już chyba ochmistrzyni będzie im przewodniczyła — rzekła kasztelanowa, zwracając się do panny Eulalji.

— Jeżeli jaśnie wielmożna pani każe, z chęcią to uczynię — odrzekła powołana z ukłonem.

— Mam też pewną wprawę! — dodała z wyrazem zadowolenia.

Kasztelanowa uśmiechnęła się pobłażliwie, a córka jej skrzywiła usta, panienki zaś pomyślały sobie:

— Jeżeli wróżby każdej przyniosą takie zmarszczki i chudość, to padam do nóg!

Lecz Elżunia z wielkim zadowoleniem odsłoniła obrus, na stole ukazały się bryły wosku i wielkie misy cynowe, napełnione wodą. Na osobnym zaś, okrągłym stoliku, stał żelazny trójnóżek, pod nim fajerka do węgla, mieszek do podsycania żaru i spory rondel. Dwórki jak żórawie powyciągały szyje, chcąc zgłębić tajemnicę owych przyrządów, panna Eulalja zaś z całym namaszczeniem spytała:

— Jaśnie wielmożna kasztelanica pozwoli, że na jej intencję zacznę wróżby?

Po bladej twarzy Tekli prześliznął się rumieniec, oczy zapalały ciekawością i, spojrzawszy na grono dwórek, rzekła:

— Jest to wieczór dziewic, razem więc powinniśmy rozpocząć wróżby.

— Jak wola jaśnie wielmożnej kasztelanicy, je-no razem trudno, nie wiem, jakby to uczynić; — odpowiedziała z pewnym zakłopotaniem panna Eulalja.

— To ja waćpannę wyreczę — mówiła, ożywiając się panna Tekla.

I zbliżywszy się do stolika, wrzuciła dużą bryłę wosku w rondel, mówiąc:

— Rozpuścimy wosk, potem każda zaczerpnie chochłą*), wyleje na wodę i będzie swej wróżby pilnowała.

Zaraz też Elżbietka nagarnęła z kominka żarzących się węgla w fajerkę, Urszulka chciała je

*) Łyżką wazową.

mieszkiem rozdmuchiwać, lecz panna Eulalja odsunęła ją, mówiąc:

— To już do mnie należy.

Wkrótce wosk zaczął syczeć, błysk z rozżarzających się węgla padał migotliwym światłem na bladą twarz Tekli i pochyłoną głowę Eulalji. Obie wyglądały jak kapłanki jakiegoś tajemniczego bóstwa, około których dwanaście dziewic czuwało. Dwórki bowiem, wzięwszy się za ręce, otoczyły je kołem, śpiewając:

Gotuj ze się, gotuj,
Losy nasze wotuj,
Bo w tym, co się warzy,
Los nam szczęście zdarzy!*)

Wkrótce wosk w płyn się rozpuścił, panna Tekla naczerpnęła chochłą i wylewając go na wodę, rzekła:

— Wylewam pierwsza, lecz wyjmę swą wróżbę ostatnia.

Za nią, nie dając się wyprzedzić, zaczerpnęła Eulalja, potem kolejno przystępowały dwórki z takim namaszczeniem i powagą, jak gdyby owe wróżby miały rzeczywicie losy ich rozstrzygnąć. Panowała też zupełna cisza, bo każda panna z bijącym sercem śledziła ścinanie się wosku, który sama wylała, bacząc, żeby się z innym nie zmieszał.

Gdy już zastygł, panna Eulalja nie dała się nikomu wyprzedzić i poczęła wróżby.

— Najpierw jaśnie wielmożnej kasztelanicy — rzekła, sięgając do misy.

— Powiedziałam, że wylewam pierwsza, a wróżbę chcę usłyszeć ostatnia! — zaprotestowała panna Tekla, przytrzymując wosk ułożony w fantastyczne kształty.

*) Z pieśni starodawnych.

— Powróćcie najpierw imé pannie Eulalji — ozwała się kasztelanowa, która dotąd w milczeniu przypatrywała się zabawie.

— To już chyba najlepiej Elżbietka uczyni — ozwała się któraś z dwórek.

Elżbietka nie dała sobie dwa razy powtarzać, wzięła wosk z rąk Eulalji i obracając go na wszystkie strony, wodziła nim przy białej ścianie, dopóki cień nie zaczął się układać w jakieś określone, a przynajmniej przypuszczalne kształty.

— Ho, ho, ho, co ja widzę, ołtarz, najwyraźniej ołtarz, na nim świece, przed nim klęcząca para i ksiądz, wiążący jej ręce, a dalej mnóstwo ludzi — mówiła młoda wróżka figlarnie, obracając na wszystkie strony wosk i wskazując na migoczące cienie.

— Już ja to wiem, że wkrótce wyprawimy gody weselne! — zaśmiała się kasztelanowa. — Mam nawet już materiał na ślubną suknię dla panny młodej — dorzuciła.

— A ja obiecuję być druchną, zawczasu więc przygotowuję dla oblubienicy welon i wianek mirtowy — rzekła, ożywiając się panna Tekla.

— A panny co na tę uroczystość dorzucą? — spytała kasztelanowa szych dwórek.

— Ja wyhaftuję chusteczkę.

— A ja ręcznik.

— Ja kołnier.

— Ja upiekę placek.

— A ja tort.

I tak po kolei odzywały się głosy figlarne. Prześcięgały się też w obietnicach, myśląc sobie:

„Można jej całe królestwo na dzień ślubu obiecać, bo już chyba w jej wieku za mąż nie wychodzą“. A panna Eulalja chociaż o ślubie nie myślała, dygnęła ze śmiechem na wszystkie strony, aż wreszcie rzekła:

— Za dobroć serc tylu winnam się wróżbą odwdzięczyć.

I wzięwszy wosk z rąk najbliższej stojącej, poczęła wróżyć z wprawą od tylu lat praktykowaną. Więc jednej przepowiedziała, iż zamieszka w zamku wspañiałym; innej, że będzie miała trosk dużo, lecz, że zostaną uwieńczone weselem. Inna znów miała osiągnąć wielkie szczęście, lecz musi na nie jeszcze poczekać, i tak dalej i dalej.

Śmiechów i wesołości było co niemiara, a każda choć niby nie wierząc, snuła na tych przepowiedniach piękne marzenia.

— A dla mnie co święty Andrzej nadesłał? — rzekła panna Tekla, ozywiona niezwykle zabawą swoich rówieśnic.

— Ho, ho, dla jasnie wielmożnej kasztelaniki z pewnością nasz święty patron był hojny! — mówiła, przychlebiając się panna Eulalja.

Lecz zaledwie zamigotała po ścianie woskiem ulanym w fantastyczne kształty, czoło jej pokryło się wielkim frasunkiem. Frasunek ten wprowadziła zaraz pokryła i poczęła coś prawić o księciu w złocistej szacie, dążącym na koniu o skrzydłach orlich, lecz kasztelanika jej przerwała.

— Wiem już, wiem koniec tej pięknej baśni!

I wzięwszy wosk wróżebny, rzuciła go w komin.

Na jej bladych ustach zaigrał uśmiech, lecz był jakiś inny, niż ten, z którym weszła.

Twarzyczka jej przybrała wyraz rezygnacji i spokoju; z rzewną życzliwością spojrzała na swoje rówieśniczki, kwitnące bogactwem zdrowia i urody.

W tej chwili wniesiono olbrzymią piramidę, ułożoną z drobnych ciastek, które miały także swój cel wróżebny.

— Teraz już ślepy los wróżyć będzie, boć kucharz poumieszczał karteczki, nie wiedząc, kto je dostanie — ozwała się dobrotliwie kasztelanowa, zachęcając do rozbierania słodkiej i misternej budowy.

— Niech ochmistrzyni zaczyna! — rzekła pan-

I odrazu w sercu jej rozdrażnionym, a garnącym się do świata, powstała myśl, którą niebawem w czyn wprowadziła.

Opuszczone i sieroty przygarnęła do siebie.

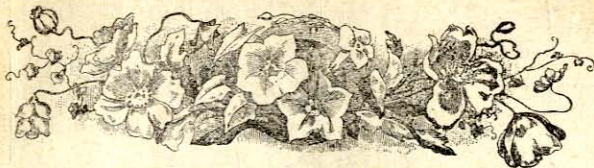
A gdy na rok następny zapalono roratną świecę i ludzie śpieszyli na mszę o świcie, każdy wskazywał biały dwór, na którym błyszczał napis:

Rosa niebieska niech napełni serca nasze.

I długie, długie lata na przedmieściu miasta Nakła *) istniał dom biały. W nim mieścili się opuszczone i sieroty, a z portretu spoglądała szlachetna twarz ich założycielki. **)

*) Nakło, starożytna osada słowiańska nad Notecią, pow. Bydgoski.

**) Przed kilkunastu laty dom ten zniszczył pożar.



GONITWY.

Świetne gonitwy były na Ujazdowie w r. 1578, świetne nad wyraz, a odbywały się na weselu kanclerza Jana Zamojskiego z Krystyną Radziwiłłówną, córką wojewody wileńskiego.

Po powrocie z onych gonitw pan podkomorzy na Różanie Różański rzekł sobie:

— Nie gorszym od Zamojskich — wolno kanclerzowi, wolno i podkomorzemu wyprawić gonitwy.

A że właśnie córkę swoją Ewunię wydawał za pana Adama Mściślawskiego, który aż z nad Dniepru po nią przyjechał, pragnął przed gośćmi przybyłymi i panem młodym, pochwalić się koligacją i splendorem swego domu.

Rozesłał więc zaproszenia w najdalsze strony do wszystkich pokrewnych sobie domów, oznajmiając zarazem, że młodzież będzie miała wielką uciechę, że podczas gonitw będzie się mogła popisywać zręcznością i gracją rycerską.

Rumor się tedy zrobił nieomal w całej Rzeczpospolitej, boć gdzie tylko o jakim krewniaku czy koligacie tak po mieczu, jako i kądzieli przy-

pomniał sobie, zaraz słał do niego z zaproszeniem, dodając:

«A jeżeliby który z jaśnie wielmożnych i wielmożnych, a miłych mi panów braci, życzył sobie do mego domu wprowadzić jakiego zacnego młodzieńca, któryby siły swej i zręczności w Różańskich gonitwach chciał doświadczyć, miłym mi będzie takowego w skromnym domu moim powitać».

Ten dodatek nie był zgoła potrzebny, boć taki był obyczaj, że na gonitwy każdy młodzian miał prawo przybywać, byleby tylko obeznany był z rycerskim rzemiosłem i w zacnym towarzystwie umiał się znaleźć. Dopisek ten był tylko dowodem wielkiej gościnności jaśnie wielmożnego podkomorzego Różańskiego.

Różany, położone na piaskach mazowieckich, nie były wielką posiadłością, a pan podkomorzy nie liczył się do tak wielkich bogaczy, żeby mógł w splendorze wielkim panom dorównać, kiwano więc na to głową, ale cóż komu do tego!

Z początku reflektowała nawet męża i pani podkomorzyna, mówiąc:

— Mój Rafale, poco nam te wydatki, lepiejby dla Marka coś zostawić, a na jaki dwór przystojnie go wysłać, chłopak dobrze się uczy, gdym była w Pułtusk, ojcowie go chwalili...

— I Marka wyślemy i gonitwy będą, miła moja Anulko. Tak postanowiłem i tak będzie! — przerwał pan Rafał, uśmiechając się tajemniczo.

Usłyszawszy taką odpowiedź, pani Anna nie rzekła ni słowa. Pomyślała tylko sobie:

— Toć jegomość najlepiej wie, co robi.

Ewuni za to, gdy patrzyła na przygotowania do onych uroczystości podczas jej wesela, aż oczki się śmiały...

— Dalekoć pojedę, niechajże mi wspomnienie weseliska i domu rodzicielskiego zostanie.

Doszła też wieść o gonitwach i do Marka, któ-

ry od roku był w szkole u księży jezuitów w Pułtusk.

Serce mu zakolało, dusza aż piszczała do wszelkich praktyk rycerskich, a tu nie wiedzieć, czy ojcowie pozwolą.

— Pozwolić na dzień zaślubin siostry, a jakże, ale czy i na uroczystościach weselnych będę mógł zostać?... — wzdychał potajemnie.

I tak mu te uroczystości, a zwłaszcza gonitwy w głowę zajechały, że gdy go ojciec matematyk o coś zapytał, nie słyszał zgoła zapytania i po raz pierwszy surowe monitum na siebie ściągnął.

Tymczasem podwórzec Różańskiego zameczku tak pięknie oczyszczono, że bodaj i panna młoda w białych trzewiezkach mogła się po nim przechadzać.

W półkole na tym podwórce ustawiono z desek wzniesienie, z którego damy i poważniejsi panowie gonitwom mieli się przypatrywać.

Za plecami wzniesienia ułożono wał z naciejonej chojny, wśród której gdzieniegdzie na wysokości tyce sterczały dla ozdoby i osłony wielkie ptaki z rozwiniętymi skrzydłami. Skąd tam pan starosta owych ptaków wy dostał, nikt dobrze nie wiedział. Wiedziano tylko, że czterokonne wozy raz wraz do różnych miast wysyłał, które najrozmaitsze ozdoby do uświetnienia tych uroczystości zwoziły.

Podkomorzy nie dojadł, nie dospał, a sam wszystkim kierował, powtarzając:

— Splendor mego domu tego wymaga. Często też mówił do żony:

— Moja Anusiu, pamiętaj, niechaj jedna komnata będzie z wielką wygodą i okazałością w zamku urządzona, trafić się może bowiem gość, któremu na niczym zbywać nie powinno.

— Żadnemu jeszcze gościowi u nas na niczym nie zbywało! — odrzekła z pewną dumą pani Anna.

Trzeba też było głowy nie lada, żeby na zjazd bodaj paruset osób, nie licząc podrzędnej służby, wszystko jak się należy przygotować. Żaden najzamożniejszy i najobszerniejszy zamek nie byłby w stanie tego uczynić, gdyby mu nie przyszli w pomoc sąsiedzi. Ci urządzali u siebie również komnaty, gdzie dla przybyłych z odległych okolic gości było *locum*, a którzy na główną uroczystość do Różan zjechać się mieli.

Nietylko więc w Różanie, ale na jakie cztery mile wokoło przez kilka tygodni czyniono przygotowania. Każdy bowiem wiedział, iż w danym razie sąsiedzi przyjdą mu z pomocą, jaką on w tej chwili oddaje.

Oprócz zaś owych komnat w sąsiedztwie, ustawiono jeszcze z chróstu i desek baraki, które na chwilowy odpoczynek służyć miały.

Nadszedł nareszcie dzień tak oczekiwany.

Ślub, jak każdy ślub, odbył się przy życzeniach rodziny i błogosławieństwie rodziców nad tonącą we łzach Ewunią.

Lecz i łzy musiały oschnąć, boć właśnie drugi dzień po zaślubinach przeznaczono na oczekiwane przez wszystkich gonitwy.

Na ten też dzień spodziewał się śnać podkomorzy dostojnych gości i owego najdosłojniejszego, dla którego kazał komnatę zostawić.

Dzień był ezerwcowy, piękny i ani zanadto upalny, ani zbyt pochmurny, jakby i samo niebo sprzyjało uroczystości.

Zaledwie też pierwsza godzina z południa upłynęła i młodzież zebrana poczęła się do gonitw szykować, gdy wielka poszóstna karetka ukazała się wśród lip zdobiących drogę do zamku.

Podkomorzy uśmiechnął się, podkreślił węża, zebrani goście spojrzeli na wysiadającego z karety średnich lat, lecz wielce wspaniałej postawy męża, a za nim młodzieniaszka dziwnie delikatnego oblicza.

Pan Rafał schylił się do kolan przybyłego na powitanie.

— Bez tych atencji, takżeśmy się umówili!... — szepnął tenże.

Podkomorzy wyprostował się zaraz również i szepem odpowiedział:

— Ha, jeżeli taka jego wola, niech tak będzie,—potym zaś wskazując miejsce na wzniesieniu obok panny młodej, rzekł z porozumiewającym uśmiechem, ale tak, żeby go wszyscy słyszeli...

— Zapewne jaśnie wielmożny starosta bełski będzie wolał być widzem, niż uczestnikiem w gonitwach.

— Zostawiam popisy młodszemu i zręczniejszemu — odrzekł tenże. — Za to ten rycerzyk pragnie do gonitw stanąć. Zwie się Krzysztof Włodek, a jest mi po rodzzonej siostrze Elżbiecie. Pamiętacie? — dodał, wskazując na przybyłe z nim pachole, w szatę, jak przystało do gonitwy, strojne.

— A jakże, a jakże! jak dwie krople wody podobny do matki — mówił podkomorzy, spoglądając na młodzieniaszka, który ciekawemi, pełnemi wyrazu oczami, rozglądał się po obecnych.

Między młodzieżą, oczekującą hasła do rozpoczęcia gonitw, zrobił się ruch, spojrzano na przybyłych. Że jednak pan starosta bełski zaimponował im swoją postawą i iście sokolim spojrzeniem, a młodzieniaszek ujął jakoś za serce skromnością i dziewczęcym prawie wdziękiem, obdarzono go zaraz przyjacielskim obejściem, wzięto pomiędzy siebie.

Lecz Krzyś najwięcej przyłgnał do Marka, którego nietylko zwolniono ze szkół na uroczystość zaślubin siostry, ale nawet pozwolono mu brać udział w gonitwach.

Pan podkomorzy Różański, oraz jego goście, którzy domyślali się w przybyłym jakiegoś dygnitarza, chcieli dać pierwszeństwo w gonitwach jego krewniakowi, lecz starosta skinął i rzekł:

— Młodzieńczyk jeszcze, nie trzeba go naprzód wysuwać, mogłoby mu się łącno w głowie popsuć.

A też i sam Krzyś stanął na uboczu i ze skromną a potulną minką, jak na jego wiek przystało, począł się wraz z Markiem zabawie przypatrywać. Opodał zaś luzak trzymał dwa konie stosowane do wzrostu najmłodszych uczestników gonitwy.

Wszyscy stający do gonitwy byli w krótkich obcisłych kaftanach i spodeńkach do kolan sięgających. Po kolana dochodziła pończocha, zastosowana do barwy ubrania lub też jedwabna, biała. Stopę odziewał lekki trzewik ze sprzączkami.

Żadnej broni nikt nie miał przy sobie, tylko kopję, którą, jadąc na koniu, miał zerwać pierścien.

Pierścienie takie były umocowane na sznurku i przytwierdzone do wysokiego drąga, który w ten sposób był ustawiony, iż obracał się dokoła, rozwiewając w równej mierze przywiązane doń sznury z pierścieniami.

Jeden z dworzan podkomorskich, przebrany dziwacznie za herolda, otrąbił rozpoczęcie gonitw, potym zaś wielkim głosem ogłaszał warunki zabawy, do których wszyscy uczestnicy powinni się byli zastosować.

Gdy ukończył swą mowę, młodzież po dziesięciu naraz wysuwała się z miejsca, z którego miały być rozpoczęte gonitwy. Objężdżając plac dokoła, każdy składał ukłon damom i starszyźnie siedzącej na wzniesieniu i wracał na swoje miejsce, czekając, aż sędziowie naznaczą, kto ma gonitwę rozpocząć.

Do sędziów naturalnie należał przybyły przed chwilą starosta bełski.

Spojrzał po stojących naprzeciw niego zapaśnikach i czy tak traf zrządził, czy też kto mu szepnął, dość, że dał pierwszeństwo panu młodemu.

Ewunia, siedząca już pomiędzy poważniejszymi damami, pokraśniała i zaraz westchnęła:

— Dajże mu też, o, Panie, odrazu pierścien chwycić!

I krzyż święty w powietrzu nieznacznie nakreśliła.

Wyjechał pan Adam Mściśławski w błękitnej kurcie, na bułanym koniu, i objechawszy plac dokoła, puścił się za rozbujającym na sznurze pierścieniem.

I czy modlitwa Ewuni to sprawiła, czy też zrzęcnosc zapaśnika, dość, że odrazu pierścien na kopję nadział.

Herold radośnie otrąbił zerwanie pierścienia, głośne okrzyki i oklaski towarzyszyły zwycięzcy.

Pan Adam, trzymając zrzęcznie kopję, zatoczył koniem, stanął przed swą młodziutką małżonką i zmusiwszy konia do przyklęknienia na przednie nogi, podał jej pierścien zerwany.

Ewunia wzamian wyjęła szkarłatną, pięknie haftowaną szarfę i przyozdobiła nią zwycięzcę.

Zaś pan starosta bełski rzekł:

— Dzielność sobie aścka małżonka wybrała. — Daj Boże, ażeby tak dzielnie umiał w boju się sprawować.

— Nie będzie chyba ostatnim! — odrzekła z wdziękiem Ewunia.

Pan Adam zaś, oddawszy konia luzakowi, stanął tuż przy swej małżonce, dając tym znak, iż zdobywszy tak ceną dla siebie nagrodę, do dalszych gonitw należeć nie ma zamiaru.

Inni zaraz poczęli się popisywać, nikt wszakże odrazu, tak, jak pan Adam, pierścienia nie uchwycił.

Uderzali w dolną lub górną, lewą lub prawą krawędź pierścienia, byli zaś i tacy, którzy podrzucali tylko sznurem, i po trzykrotnym objechaniu placu ze wstydem na miejsce swoje wracali.

Gorzej zaś było temu, który ze strzemięcia nogę wysunął, czapkę z pióropuszem zgubił, kopję złamał lub konia w pół biegu musiał zatrzymać. Taki tracił prawo do dalszych gonitw.

Ci też, nie czekając sądu, usunęli się zaraz, a chociaż nęciły ich dalsze uroczystości, uciekali gdzie pieprz rośnie.

Przerzedziło się też między młodzieżą, a też i dzień długi czerwcowy miał się ku schyłkowi, gdy skłoniwszy się dwornie, pan podkomorzy rzekł:

— Niechajże teraz i najmłodszym jasnie wielmożny starosta na gonitwy pozwoli.

I wskazał na oczekujących tej upragnionej chwili Krzysia i Marka.

— Niechaj wasz Marek wyjeżdża! — rzekł starosta.

— Co na to, to już pozwolić nie mogę! On miałby przed gościem stanąć, toż to niepodobna! — odparł podkomorzy i chciał się dalej upierać, ale pan starosta mu przerwał, mówiąc:

— Zrobiliście mnie sędzią, mam więc prawo nie tylko sąd wydawać, ale i ubiegającego się o pierścień naznaczać.

Nie było rady: trzeba było przystać.

Pani podkomorzyna spojrzała na syna, jak gdyby mu tym spojrzeniem z oddali chciała dodać odwagi. — Marek i bez tego spojrzenia do wszelkich rycerskich zabaw miał serce niepłochliwe.

Wskoczył też na konia, objechał szranki, naśladując w ruchach swego szwagierka.

Nie poszło mu wszakże tak składnie, ale poszło.

Za pierwszym razem, gdy ugodził, dotknął dolnej krawędzi pierścienia, za drugim razem górnej.

Według zwyczaju miał już tak zwane trzecie

zwycięstwo, mógł być na tym nawet poprzestać, obawiając się, ażeby za trzecim biegiem nie spotkał go jaki przypadek, któryby mu owo trzecie zwycięstwo wytrącił.

Lecz Marek ani myślał poprzestać.

Puścił konia, wyteżył wszystkie siły i z wielkim tryumfem pierścień zerwał.

Poniósł go wprost przed starostę bełskiego i wciąż naśladując Adama Mściławskiego, chciał zmusić konika, ażeby ukląkł. Nie udało mu się wszakże, zeskoczył więc zręcznie z konia, przykląkł na jedno kolano i podając zacnemu gościowi pierścień, rzekł dwornie:

— Obym mógł w przyszłości inne trofea u nóg waszych złożyć!

Spodobało się to odezwanie staroście, bo nie tylko, że obdarzył go szarfą, jako nagrodą za chwycenie pierścienia, lecz dodał:

— Masz u mnie sygnet, który ci niebawem przyślę, a gdy przyjdzie potrzeba, pamiętaj, żebyśmy na inne gonitwy pociągnęli!

Marek, cały rozradowany, gotów byłby bodaj dziś ruszyć w pole. Tymczasem wszakże ustąpił miejsca oczekującemu na swoją kolej Krzysowi.

Uśmiechnął się na to starosta i spojrzał z serdecznym uczuciem, chociaż i z pewnym lękiem na siostrzana.

Ten zaś, wjechawszy w szranki, poprawił czapeczki z taką fantazją, jakiej u nikogo dotąd nie widziano. Siedział na koniu mocno, ale jakoś inaczej niż inni i inaczej zataczał nim koło.

Ręka jego drobna trzymała silnie cugle, drugą ujął umiejętnie kopję, lecz zdawało się, że te ręce więcej stworzone do wrzeciona i igły, niż do praktyk i zabaw rycerskich.

Objeżdżając szranki, spojrzał z uśmiechem na starostę bełskiego, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Zobaczycie, wuju, nie zrobię wam despektu.

I z tą samą fantazją rzucił kopją i zerwał pierścień. Głośnie oklaski i głos herolda towarzyszyły młodziutkiemu zwycięzcy.

Markowi tak oczy błyszczały radością i tak mu serce wezbrało uciechą, że aż zawołał:

— Gdybym to ja sam tak dzielnie się popisał, nie byłbym bardziej szczęśliwy.

Na zwycięzcy znać było wielki wysiłek. Gdy podawał zdobyty pierścień podkomorzynie, ledwie nie upuścił kopji, tak drżała mu w rękę.

Ujrzawszy to, pani Anna z iście macierzyńską czułością skłoniła się ku niemu, aby odebrać pierścień i oddać nagrodę. I w sam czas to uczyniła, bo młodziutki zwycięzca zbladł i począł się chwiać na koniu.

Luzak dopomógł mu zsiąść, a młodzieniaszek padł zemdlny.

Pośpieszyła ku niemu podkomorzyna i inne niewiasty, otoczono go ze wszech stron, a starosta belski szepnął coś podkomorzemu.

— Osobliwe! — zawołał tenże uśmiechając się.

Pośpieszył do żony i z kolei rzekł coś do niej tajemniczo.

Podkomorzyna spojrzała na męża niedowierzająco i z pewnym zdziwieniem, odpowiedziała wszakże słodkim swym głosem:

— Dozorować słabych i rannych niewieścia to rzecz, zostawcież waszmoście młodzieniaszka naszej pieczy!

Usunęli się zaraz wszyscy, nawet Marek z wielkim żalem i zakłopotaniem musiał ustąpić, została tylko podkomorzyna i kilka pań poważniejszych.

Przeniesiono wnet młodziutkiego zwycięzcę do komnat niewieścich i wkrótce orzeźwiono z chwilowego omdlenia.

Zamąciło to na chwilę zabawę, dużo gości roz-

jechało się do domów, a pozostali uprzyjemniali sobie resztę dnia według upodobania.

Marek chodził wciąż koło komnaty, gdzie jego towarzysz spoczywał, nie wpuszczono go tam wszakże. Uspokojono tylko, że jest zdrow zupełnie i wkrótce między biesiadnikami się ukaże.

W chwili, gdy miano zasiąść do uczy, młodsze podkomorzanki: Jagusia i Dorotka, wprowadziły dziewczeczkę, która, jak dwie krople wody, była podobna do owego Krzysztofa Włodka.

Marek, spojrzawszy na nią, szeroko oczy otworzył, ale tak oniemiał ze zdziwienia, że nie śmiał nawet pytać sióstr, co to miało znaczyć.

Sam nie wiedział, czy się miał cieszyć, że towarzysz, do którego taką od pierwszej chwili żywił przyjaźń, tak nagle stał się towarzyszką, czy też się smucić z tej przemiany.

Nikt też przez szacunek dla starosty belzkiego nie zdawał się zwracać na to uwagi.

Lecz przy końcu biesiady sam starosta, pogładziwszy brodę, podniósł kielich i rzekł z uśmiechem:

— Po wielu toastach, które się należały za cenem Różańskich domowi, oraz spokrewnionym i zaprzyjaźnionym z nim gościom, wnoszę toast z życzeniem, aby żadna z przytomnych tu, a znacznych dziewic do praktyk rycerskich się nie zrywała, boć nie dziewczęca to rzecz i nie niewieścia w gonitwach brać udział i o pierścień się dobić. Niechaj rycerz ten pierścień zdobędzie i u nóg jej złoży, tak było od wieka i tak niechaj będzie! Ona zaś, jak przystało bogobojnym i zacnym córom, niechaj w domu będzie śpiewnym skowronkiem, słonkiem przyświecającym w każdej pracy, a w danym razie otuchą, radą, serdecznym uczuciem i męstwem niechaj służy!

Niech nam żyją takie dziewczeczki! — zakończył, zbliżając do ust kielich.

— Niech żyją! — powtórzyli z zapalem uczestnicy biesiady.

A Krzysia schowała się za swoje towarzyszkę i podczas mowy starosty tylko figlarnie z za ich ramion wyglądała.

II.

Gdy Jan Zamojski prowadził wojnę z Maksymilianem, arcyksięciem austrijackim, dobijającym się o tron polski, przyszło w roku 1588 do walki pod Bieczyną, tuż na pograniczu Szląska.

Zima ówczesna była lekka i właśnie dnia 24 stycznia ziemia tak rozmarzła, że konie na mokradłach lgnęły.

Zamojski wszakże nie zwracał na to uwagi i postanowił raz położyć koniec walce kraj trapiącej.

Gdy się przeprawiał przez trzęsawiska, ulgnął z koniem. Wtym wyskoczyło z zasadzki kilku żołnierzy austrijackich i pędem rzucili się ku znakomitemu wodzowi.

Walka była trudna, bo ciężki koń hetmana nie mógł się wydobyć z trzęsawiska.

Wtym przyskakuje lekko uzbrojony młodzian, podaje swego konia wodzowi, napastników zaś zręcznym cięciem odpiera, choć sam pozostaje ranny.

Tegoż dnia Zamojski odniósł nad Austrijackami zwycięstwo i wziął do niewoli arcyksięcia Maksymiljana.

Gdy późnym wieczorem wszystko w obozie ucichło i bliższe otoczenie zebrało się w kwatery wodza, tenże zapytał:

— A gdzież jest Marek Różański, który mi ocalił życie?

— Szpetnie ma przecięty policzek i ramię; leży w izbie u jakiegoś mieszczanina i jęczy, że nie mógł do dalszej walki należeć — odparł Adam Mściślawski, dowódca jednej z chorągwi.

— Jestem więc po raz wtóry jego dłużnikiem, jeno drugi dług ważniejszy od pierwszego — rzekł hetman.

Obecni zwrócili nań pytające spojrzenie.

— Pamiętasz waś, żem mu podczas gonitw na twoich zaślubinach obiecał sygnet i takem o tej obietnicy do cna zabaczył, że mi dopiero przyszła na pamięć, gdy Marek w moich szeregach się ukazał — mówił Zamojski.

Potym zaś dodał:

— Tamten dług spleacony, ten się też wyrówna choć zawsze mi w sercu pozostanie — ba, toć dla jego ojca żywię też przyjaźń.

Bieg wypadków dziejowych odwrócił uwagę Zamojskiego od spraw codziennych. Marek się wkrótce z ran wyleczył, a chociaż miał szpetną na policzku szramę, dodawała mu ona tylko rycerskiego wdzięku.

Gdy się nieco uspokoiło, Zamojski, będąc jakąś chwilę wśród swojej rodziny, spojrzał na przechadzającego się w cienistej alei Marka ze znaną nam Krzysią Włodkówną.

— Pożeśmy ich! — rzekł do siostry swojej Elżbiety, a matki Krzysi, i klasnął w dłonie.

Usłyszawszy to kłaśnięcie, Krzysia przybiegła do kolan wuja, którego była od lat najmłodszych wielką ulubienicą.

Za nią zbliżył się i Marek.

— Możebyśmy jakie gonitwy do pierścienia urządzili? — zapytał wuj, patrząc bacznie w oczy dorodnego dziewczęcia.

— Wujaszek dobrodziej zawsze mi tę dzieciną zabawkę przypomina — odrzekło dziewczę z pewną wymówką.

— Nie przypominam, jeno pytam, i nie ciebie, jeno Marka — mówił dalej hetman.

— Jam zawsze gotów na rozkazy jaśnie wielmożnego hetmana — odparł tenże, kłaniając się dwornie.

— Zdobądź więc jeszcze raz pierścień, a jaką zań nagrodę odbierzesz, nie moja to rzecz — mówił, uśmiechając się Zamojski.

Że zaś każdy podwórzec ówczesny miał na wszelki wypadek wbity słup z wiszącymi na pierścienie sznurami, więc hetman zdjął ze swego palca sygnet z rubinem i własnoręcznie zawiesił go na sznurze.

Podano też zaraz konia.

Marek skoczył na niego.

Jak na prawdziwych gonitwach, zatoczył koniem trzykrotnie i z wielką łatwością zdjął pierścień, mrugając nań okiem czerwonym. Potym zeskokczył z konia, przykleknął przed stojącą obok matki i wuja Krzysią, i podał jej swą zdobycz.

Krzysia odebrała pierścień, lecz wzamian za podszeptem matki i wuja, swój mu oddała.

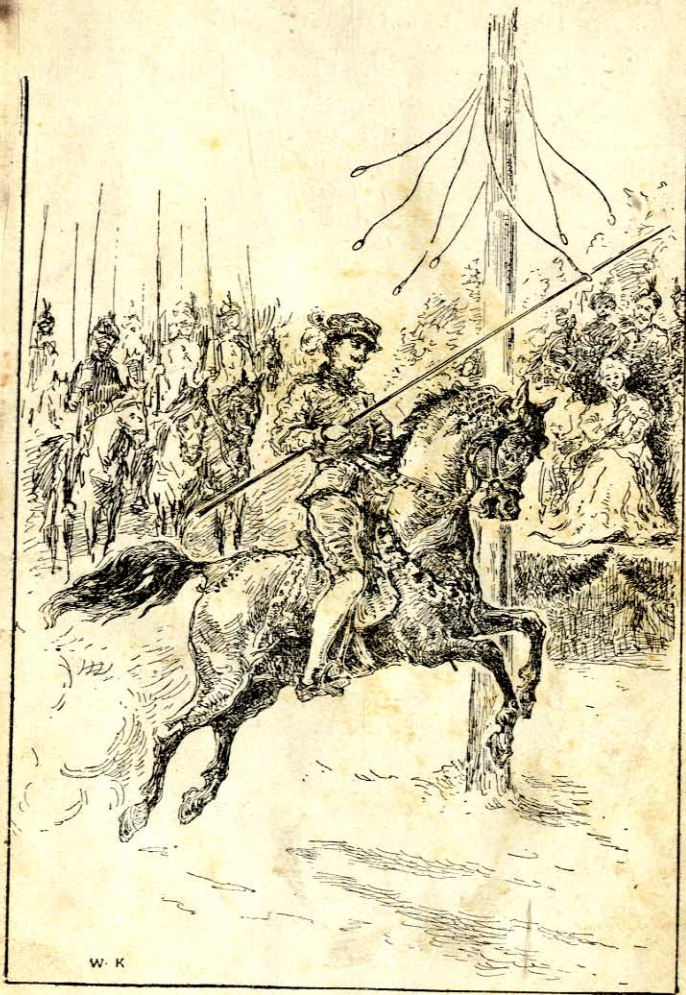
* * *

A teraz mógłby kto zapytać, skąd kanclerzowi, hetmanowi Zamojskiemu przyszło na gonitwach w Różanie się znajdować?

Bardzo prostym sposobem.

Pan Rafał Różański był przy nim w wielu potrzebach wojennych; na zagranicznej nauce, bo daj w Padwie, byli także razem, zaprzyjaźnili się więc niepomalu. W jakiejś walce, o mało że pan Różański za swego druha głową nie nadłożył, nie więc dziwnego, iż kiedy podczas uroczystości zaślubin kanclerza, podkomorzy życzenia mu składał, a w poufnej gawędzie wyraził, iż radby na weselu swej córki, Ewuni, która wtedy była zaręczona, gonitwy urządzać, Zamojski rzekł:

— Urządzaj, bracie, a coć potrzeba do splendoru, zamów sobie u moich dostarczycieli. Jak będzie czas, to i ja na zaślubiny twojej Ewki przybędę — dodał.



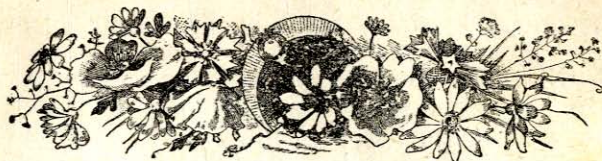
...zatoczył koniem trzykrotnie i z łatwością zdjął pierścień...

Gdy zaś pan podkomorzy za tę łaskę i nowy dowód przyjaźni kanclerza dziękował, tenże zawołał:

— Jeno bez wszelkiej nadzwyczajnej atencji; przybędę jako starosta bełzki, boć przecie nim jestem. Niech nikt nie wie, żem kanclerz i hetman, żem Zamojski, pamiętaj Waś! A miłość mi będzie chociaż raz skóry dygnitarskiej się pozbyć i jak przystało zabawić.



*C. Puleszay tya kl.
tyrak tya kl.*



Wszyscy Święci w Nieświeżu.

W Nieświeżu, głównej siedzibie księcia Karola Radziwiłła «Panie kochanku» *) przygotowywano się do wielkiej uroczystości.

I jakże nie miano się przygotowywać!..

Książę po kilkumiesięcznej nieobecności wracał do swego zamku w wigilję Wszystkich Świętych, a dzień ten zawsze przepędzał nie tylko na nabożeństwie, lecz i właściwych na ów dzień «krotochwilach».

«Krotochwile» te musiały być poważne, mające nawet cechę religijną, zastosowane do święta, poprzedzającego dzień zmarłych, ale być musiały.

— Cóż tam na jutro przygotowano, panie kochanku?— spytał książę zaraz po przyjeździe.

— Jest to tajemnica, którą chcemy uczcić dzień Wszystkich Świętych, a zarazem przybycie jasnie

*) Nieśwież nad Uszą, powiat Słucki. Książę Karol Radziwiłł, urodzony r. 1736, zmarł w Białej 1790 znany był ze swego humoru, dowcipu i zamiłowania do żartów. Miał on zwyczaj powtarzać coraz «Panie kochanku», stąd pozostał mu ten przydomek.

oświeconego księcia — odrzekł, kłaniając się marszałek dworu.

— Niechajże będzie, panie kochanku — rzekł książę. A trzymajcie tę tajemnicę dobrze w garści, panie kochanku, żeby wam się nie wymknęła i nie narobiła kłopotu! — dodał, uśmiechając się i mrugając filuternie lewym okiem.

Na drugi dzień, kiedy wracano z niesporów, sala biała, w której odprawiały się wszelkie uroczystości i teatrum, była już wspaniale oświetlona. Z okien były blaski, ale tak nadwyczerpane i tak mieniające się różnobarwnym światłem, że książę zapytał:

— A cóż to tam, panie kochanku, za nadziemskie światła biją z okien?

— Pewnie się Wszyscy Święci do jaśnie oświeconego księcia na doroczne gody zebrali — odrzekł rękodajny*) dworzanin.

— Hm, hm, panie kochanku, wielki to byłby zaszczyt dla mnie, boć dotąd w Zaduszki jeno kilkadziesiąt kop dziadów przychodziło do Radziwiłła — odrzekł książę.

I przyśpieszył kroku, każąc się do owej sali prowadzić. Zatrzymał się wszakże i rzekł:

— Jeżeli, panie kochanku, wszyscy Święci do Radziwiłła w gościnę przybyli, Radziwiłł musi godnie na ich przyjęcie wystąpić.

I zawrócił do szatni.

Tu zrzuciwszy z siebie granatowy kontusz, zaczął się odziać w płaszcz pielgrzymi, na nogi wziął sandały, kij do ręki i rzekł:

— No, jużem gotów, panie kochanku!

Nie w smak była ta odzież uboga całemu otoczeniu, boć z całym przepychem, jaki zwykle na

*) „Rękodajny“ miał obowiązek podawać księciu rękę przy wsiadaniu i wsiadaniu z kolasy, oraz przy przejściach, gdzie były progi lub schody.

dworze Nieświeskim panował, uroczystość tę przygotowano.

Ale cóż było robić, trudno się było sprzeciwić księciu, który też zaraz wszedł na salę.

Olśnił go blask i tłum Świętych, ustawionych rzędem, z świętym Piotrem na czele. Książę przysłonił ręką oczy, przebiegł wzrokiem po zgromadzonych i stanąwszy przy drzwiach z jakąś niebywałą u niego pokorą, chwilę się namyślał. Potym wszakże podniósł głowę i przeszedł do przygotowanego dlań wzniesienia.

Pomyślał też sobie, siadając:

— I przy Świętych, panie kochanku, trzeba swoją godność zachować, bo choćem pielgrzym w tej chwili, alem zawsze Radziwiłł.

Aż tu ozwały się pienia:

Na dwór księcia Radziwiłła,
Śpieszmy w nasze święto,
Hojność jego to sprawiła,
Że nas nie zamknięto; —
Nie zamknięto nas w ciemności,
Jeno umysł do jasności
Hojność jego nam prowadził
A nauka nas wygładzi,
I na ciele i na duszy,
Wszelakie złe w nas rozkruszy.
Na tym świecie do oglady
A na przyszłość w Świętych ślady
Wejść da,
Wejść da.

Więc przynosim mu pokłon,
Z nieba powitanie,
Że w niebie książęcy tron
Dla siebie zastanie.

— Oj, oj, bodajby tak było, panie kochanku! — westchnął książę.

Wtym święty Piotr, z kluczami idący na czele, skłonił głowę przed księciem, za nim szli czte-

rej Ewangelistów: św. Łukasz, św. Jan, św. Mateusz, św. Marek. Nieśli oni wielkie księgi, a przechodząc koło książęcego tronu, wskazywali wypisane Ewangelije.

Potym cały szereg rozmaitych Świętych, odzianych w białe, błękitne i ponsowe płaszcze z wielkimi brodami i z młodzieńczemi twarzami, przesuwał się wolniutko przed księciem.

I zdawało się, że defilada ta końca bodaj nie będzie miała. A światło rzucało błękitne, różowe, to znów srebrne lub złote blaski.

Książę, przysłaniając wciąż oczy, żeby go zbyt ten blask nie raził, nazywał każdego w myśli po imieniu, a oglądając z jakimś rzewnym rozczuleniem, wzdychał od czasu do czasu i mówił w sobie:

— Dobrą miał myśl, panie kochanku, zem tę szkołę kadetów w Nieświeżu ufundował, boć i królowi Stanisławowi, panie kochanku, puściłem finfę, że on u siebie, a Radziwiłł u siebie młodzież kształci, i sobie duszną zrobiłem uciechę. A może też oni tam, panie kochanku, u Wszehmocnego wymodlą, że Radziwiłł chociaż do przedsiönka Pańskiego zostanie wpuszczony — westchnął. — Boć tam już, panie kochanku, o tym tronie w niebie, o którym śpiewali, nie marzyć mi chyba — dodał kiwnąwszy głową. Zaraz jednak się uśmiechnął i myślał dalej: Oni mnie, a ja im uroczystość wyprawię...

Po chwili milczenia rzekł książę głośno:

— A niechby też św. Piotr, panie kochanku, do Radziwiłła się pofatygował!

Przyszedł więc zaraz ów, co św. Piotra przedstawiał, a chociaż miał łysą głowę, nieco jeno siwemi włosami otoczoną, i siwą brodę, i zmarszczki na twarzy, z ocz wżakże błyszczących, pięknych, kształtnych rysów i całej postawy, łącno poznać było, że pod tą powłoką zgrzybiałości kryje się młodość pełna życia.

Był to Piotr Gołasowski, znany ze swego do-

wcipu, a kształcący się, jak i inni, w szkole kadetów w Nieświeżu. Wybrano go umyślnie na przewodniczącego dzisiejszej uroczystości, by przywołany przez księcia, umiał się należycie w każdym terminie znaleźć i krotochwilną odpowiedzią księcia jegomości zabawić.

Stanął też i teraz we właściwej postawie furtjana niebieskiego i czekał.

— Obiecaliście mi tron w niebie, panie kochanku, a za cóż się uchwyce, by dojść do tego tronu? — zapytał książę.

— Chwytać się niczego bodaj jego książęca mość nie ma potrzeby, boć kadeci nieświescy na szabelkach go swoich podniosą — odrzekł mniemany furtjan niebieski.

Uśmiechnął się książę na zręczną odpowiedź i pyta:

— Ale cóż to, panie kochanku, jeno Święci do Radziwiłła w odwiedziny przybyli, a Świętej ani jednej nie widzę.

Stropił się jakoś Piotr na chwilę, boć zapomnieli zupełnie, że niebo nietylko Świętymi «masculini generis»*), ale i świętymi panienkami i niewiastami jest zaludnione. Stropił się więc, ale zaraz skoczył po rozum do głowy i nie zapomniawszy języka, rzecze:

— Wiadomo przecie jego książęcej mości, że nieprzystojnie jest białogłowom chodzić samopas w oddalone kraje, a jeżeli ta przystojność zachowywana jest na ziemi, tym ci więcej przestrzegana być musi w niebie.

— Chyba, że tak, panie kochanku, jako furtjan, wprowadzający duszyczki do nieba, musisz znać tamtejsze obyczaje — odrzekł książę.

I zaraz zapytał:

— A dużo też jest świętych dziewic i niewiast, panie kochanku, w niebie?

— Jest, jest tego niemało, ale zawsze «genus

*) — rodzaju męskiego

masculinum» przeważa, boć to wiadomo, że zawsze i wszędzie vir*) pierwszeństwo trzymał — odrzekł Piotr z pewną chępliwością.

— Chyba, że tak... chyba, że tak, panie kochanku — powtarzał książę. — Ale zawsze mi marotno, panie kochanku, że święte panienki i białogłowy Radziwiłła nie odwiedzili.

— Niema co jego książęca mość żalować, boć chociaż to święte, ale zawsze jako niewiasty jenoby harmideru przyczyniły — odrzekł Piotr.

— Chyba, że tak, panie kochanku, chyba, że tak — odrzekł znów książę, uśmiechając się filuternie.

I znów zapytał:

— Nie mają, jak widzę, panie kochanku, u waści białogłowy łaski. To im chyba trudno się dostać do nieba?

Piotr się tak zaczerwienił, że aż przez malunek rumieniec na lice mu się wydostał — odrzekł wszakże, nie tracąc rezonu:

— Jestem jeno furtjanem, wszelakie więc sądy nie do mnie należą; wpuszczam tedy każdego, na kogo ten los szczęśliwy przypadnie.

— Ale nie każdemu może, panie kochanku, dość szeroko i chętnie wrota otwierasz? — żartował książę.

— I to się zdarza, i to się zdarza — odrzekł, uśmiechając się Piotr.

— Pilnujże, panie kochanku, żeby ci się podczas dnia Zadusznego zbyt wiele niewieścich duszyczek i bez uchylenia wrót do nieba nie dostało! — zakończył Radziwiłł.

I skinąwszy na rękodajnego, zszedł ze wzniesienia i począł się przechadzać między ustawionymi w ordynku Świętymi, do których i Piotr, nie opuszczając swych kluczy, pośpieszył.

Muzyka na chórze przygrywała ciche, zasto-

sowane do okoliczności pienia, książę tu i owdzie któremu ze Świętych słówko szepnął i najwidoczniej rad był z uroczystości, bo od czasu do czasu krotochwilnie powtarzał:

— Nie myślałem, nie myślałem, panie kochanku, żeby Radziwiłł mógł tak swobodnie między Świętymi przebywać.

Aż pachołcy poczęli wnosić na tacach ciasto. Ten i ów spojrzął, boć tego w programie nie było, a nawet jakoś z uroczystością nie licowało. A książę, uśmiechając się, rzekł:

— Skoro Święci, panie kochanku, mnie odwiedzili, nie może być, żeby ich, panie kochanku, Radziwiłł o suchej gębie wypuścił.

Tedy owi Święci wcale po ludzku zabierali ciastka, a też i kieliszczykami bardzo słodkiego miodu nie wzgardzili.

Okazało się też, że w każdym ciastku znajdował się dukat, co mocno mniemanych Świętych uradowało, a miodek, nieprzyzwycajonym do innego krom wody, napitku, tak jakoś poszedł do głowy, iż poczęły im się rozmaite cudeńka majaczyć.

Aż tu nagle światła się przyemily i wielka ilość postaci dziewczęcych, jakoby wichrem pędzona, do sali wpłynęła.

Wszystkie były okryte białymi płaszczami i jak duchy, ślaniające się i przemykające między zdziwionymi Świętymi, okręcały każdym i na poły śpiewając, mówiły:

Toć już i Zaduszkil...
My, pokorne służki,
Pokutnice długo
Nad łez ludzkich strugą.
Aż i nieba wrota
Rozwarła nam cnota,
Więc teraz, jak trzeba,
Lecimy do nieba!
Fru, fru, fru!

*) — mąż, mężczyzna.

Tuman, jak mgła gęsta, napelnił salę — muzyka, która przygrywała tęskne pienia, przechodząc zaczęła w hymn radosny, a że sala była o dwóch podniebiach, pierwsze się rozwarło, ukazało się błękitne ze złotem, jakby niebiańskie światło, a dziewice trzepocąc przyczepionemi skrzydłami, poczęły się wznosić na błękitnych, jak mgła, oponach ku górze.

Święci, z Piotrem na czele, nie rozumieli dobrze, co się dzieje, tak to wszystko zrobiło się składnie, nagle i ładnie.

Niejeden rozmarzony słodkim miodem i nadspodziewanym zjawiskiem, sądził, że to naprawdę duszyczki w dzień Zaduszny ulatują ku niebu.

Książę zaś myślał sobie:

— A to mi się udało, panie kochanku!

Aż naraz podniebie się zamknęło, zwykle, codzienne światła napelniły salę, a książę, śmiejąc się, zawołał:

— Tak, tak, panie kochanku, furtjan wrót niebieskich nie pilnował i oto wleciały do nieba dziewice. — A teraz, panie kochanku, marsz do kościoła i każdy niech zmówi klęczący wieczny odpoczynek za dusze zmarłych!

O Radziwille też, gdy umrze, panie kochanku, nie zapominać!



72517